OPIEKUN DOMOWY

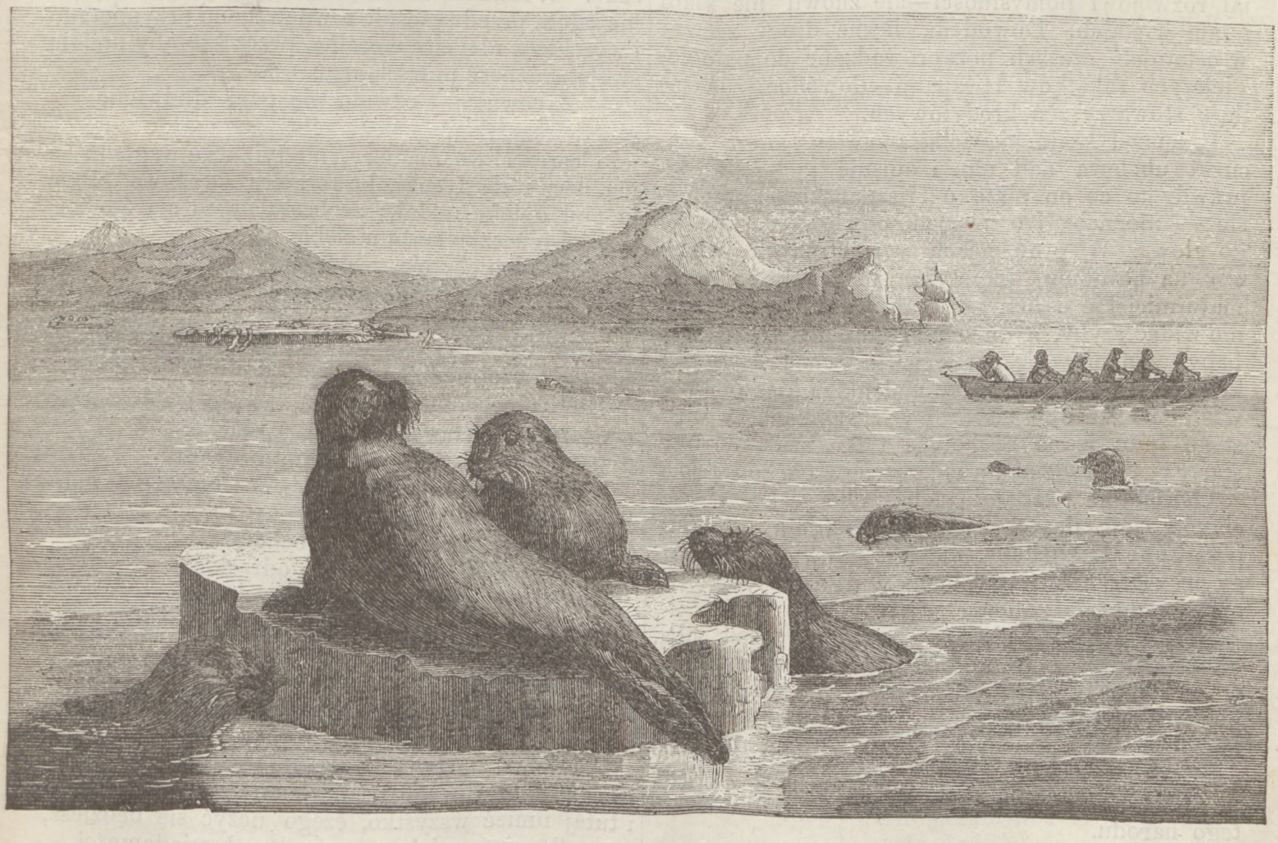
Warszawa dnia 30 Października / 11 Listopada 1868 roku.

Nr 45. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. 1. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

HISZPANJA.

Wypadki polityczne zaszłe w Hiszpanji zajmują większą część szpalt gazet i kurjerów i niejednokrotnie są przedmiotem rozmowy, ponieważ Hiszpanja należy do tych krajów, o których Europa i my bardzo słabe mamy wyobrażenie, pozwólcie że o tym, niegdyś wielkim narodzie, powiemy wam cokolwiek.

Hiszpanja leży po za Francją i oddalona jest od takowej górami Pirenejskiemi. Liczy ona mieszkańców do 16,000,000 a pomiędzy nimi 350,000 fabrykantów i 670,000 rzemieślników. Rozległość zaś liczy 9,200 mil kwadratowych. Podług zaludnienia Hiszpanja jest ósmem z rzędu państwem w Europie, a podług rozległości piątem. Oprócz tego Hiszpanja ma posiadłości czyli kolonje w innych częściach świata, jak w Ameryce, Azji, Australji i Afryce. Ludność jest prawie wyłącznie wyznania Rzymsko-katolickiego i prawie do ostatnich czasów niewolno było protestantom przemieszkiwać w Hiszpanji. Stolicą państwa jest Madryt, liczący 298,000 mieszkańców, prócz tego są jeszcze inne duże miasta jak Barcelona mająca 190,000 ludności, Sewilla 118,000, Walencja 107,000.



Polowanie na Morsy (do str. 358-éj.)

W ogóle uważają u nas Hiszpanją za kraj bogaty, ale mocno przez złe rządy zaniedbany—

mieszkańców zaś nazywają próżniakami, ciemnymi i fanatykami, czyli aż do przesady zamiłowanymi w katolicyzmie, a szczególnie jego obrzędach. Wejrzawszy atoli głębiej nie tak się rzecz przedstawia. Rolnictwo jest wprawdzie zaniedbane; ziemia uprawiana jest licho z małemi wyjątkami. Płodozmianu nie praktykują, nawozów nie używają, gleba kilku z rzędu, jednakowemi zbiorami wyczerpana, musi dla nabrania urodzajności w wieloletnim odpoczywać ugorze. Ztąd pochodzi, że w latach miernego urodzaju, głód daje się dobrze we znaki ludności. Hiszpanja głównie produkuje wino, oliwę i wełnę. Wina jednak nie umieją czysto wyrabiać!—oliwa prawie zawsze jest cuchnącą, a wełna nieczysto wyprana i zanieczyszczona zielskiem, rzadko znajdzie kupca i dobrą cenę. Gleba atoli jest płodną, pastwiska górskie wyborne i byle tylko chęć do zabiegłości była—plony rolniczo—gospodarskie, znalazłyby nawet odbyt zagranicą.

Wnętrze ziemi zawiera także bogactwa: są pokłady miedzi, ołowiu, cyny, galmanu, żelaza, rtęci—ale mało kto zajmuje się ich wydobywaniem. W ostatnich czasach cudzoziemcy, a szczególniej Anglicy, zajęli się wyrobem metalów, szczególniej miedzi i ołowiu. Krajowcy atoli mało się o to troszczą. Mają piękne niebo, urocze strony, dość owoców i ciepło w dodatku, więc pędzą sobie życie próżniacze, rozkładając czas na modlitwy, powstania i trochę roboty. Wprawdzie rząd nie sprzyjał rozwojowi pomyślności—ale znowu nie kładł i tam wielkich. Dowodem, liczne drogi żelazne w ostatnich czasach pozaprowadzane do najodleglejszych zakątków Hiszpanji—dowodem znaczna ilość stowarzyszeń kredytowych.

Przemysł kraju niewielki; pewien autor francuzki ubolewa nad nim i opisuje go — ale doprawdy to co on pisze o Hiszpańskiem przemyśle — możnaby i o naszym powiedzieć. Oto jego słowa: W prowincjach wewnętrznych zwłaszcza na południu, napotyka się wioski, a nawet małe miejskie osady, gdzie ani jednej co się zowie nie widać szyby, a dużo mieszkań przeszukać trzebaby, zanimby się zwierciadło, choć i niewielkie znalazło; chyba tylko maleńkie i kieszonkowe, w ołowianych lub tekturowych ramkach. U prostego ludu jedna pospolicie tylko szklanka wystarcza całej rodzinie, a najczęściej z garków piją.

Oświata w hiszpanji słaba, choć szkół i dzieciaków jest dosyć. Fanatyzm religijny, o który posądzano Hiszpanów, nie jest tak wielki. A wojny prowadzone z Napoleonem I dowiodły, że bronić się mężnie umieją.

Naród ten ma wielką przyszłość przed sobą. Skoro oświata się rozrośnie, a przesądy umilkną, może stanąć w rzędzie pierwszych ludów i państw pierwszorzędnych. Żyzne grunta, bogate łono ziemi, dość rzek spławnych, piękny klimat, dogodne z dwóch stron do morza przytykające brzegi, wszystko to przyczyni się także do podniesienia tego narodu.

GŁAZY.

....Są tacy ludzie co wstyd starłszy z czoła,
Obliczem grozy straszą niby morem,
Co wypędziwszy gdzieś z piersi anioła,
Stali się niebu i ziemi potworem.
Są tacy ludzie—co chociażbyś młotem
Kruszył ich serce—ręka ci omdleje;
Ty sam zmęczony runiesz wpiérw z łoskotem,
Nim się w nich dusza odezwie—zaśmieje...
Są tacy ludzie co mają ze stali
Skroń, oczy z lodu, usta potępieńca,
Co w swojem życiu miłości nie znali,
Nie znali wiosny, zapału—rumieńca.
O są, są ludzie—których nie poruszy
Ni łza, ni uśmiech, ni radość, ni trwoga,
Ani rozpaczy krzyk zranionéj duszy,
Ani głos piekła, ani groźba Boga...
Uciekaj od nich, bo to zimne płazy—
To głazy! to głazy!

Franciszek Gumowski.

ŚWIETNE WYCHOWANIE I SZKOŁA NIESZCZĘŚCIA.

(*Ciąg dalszy*,—patrz N. 44-y).

Młodsza guwernantka Francuzka, mademoiselle Frelon, głośnym parsknęła śmiechem, a starsza ozwała się poważnie:

— Biedne dziecko! jegoż to wina? pewna jestem, że rychło bardzo przyzwoicie będzie wyglądać; nie trzeba jej tylko wyśmiewać, a łagodnie ostrzegać. Fizjognomijka wielce obiecująca.

— Bardzo ładne, rzekła francuzka, chcąc poprzedni błąd swój naprawić; z takim pięknym buziakiem można zrobić fortunę.

Mistress Tomson surowo popatrzyła na towarzyszkę. Właśnie — rzekła, trzeba się starać, żeby się nie zajęła przedwcześnie zewnętrznemi przymiotami i wyrobić w niej siłę moralną, przez którąby umiała swoję próżność powściągnąć.

— Zapewnie — ozwała się pani Jadwiga, ale przedewszystkiem należy pilną zwracać uwagę na jej nieszczęśliwe maniery, nie tylko ze względu na nią, lecz i dla Irenki, bo to rzecz zaraźliwa. Pani ją pod opiekę oddaję; zechcesz na to się zgodzić, aby jej łóżeczko stało u ciebie.

— Bardzo chętnie, — odrzekła pani Tomson, sądzę że nie będę z nią miała wielkiego ambarasu, że tak w obyczajach, jak i w nauce da się łatwo prowadzić. Chciej ją panno Ireno zapytać się odemnie, czy się też jej podobam?

Irenka uczyniła jej zadość, zwracając do Jagusi po polsku zapytanie przez nią zrobione.

— Bardzo! — odpowiedziało dziewczę.

Angielka zrozumiała ją bez tłumacza i dalej przez Irenkę badała:

— A uczyć się będziesz z ochotą?

— O z największą! śmiało odrzekła

— Czegóżeś się nauczyła dotychczas?

— Umiem czytać, pisać, rachować, umiem katechizm i historję świętą...

A więcej?

— Więcej nic — odpowiedziała żałośnie, bo tegom się tylko uczyła.

Angielka znów ją pogłaskała serdecznie i rzekła z dobrotliwym uśmiechem: staraj się tylko i tutaj umieć wszystko, czego uczyć się będziesz, a prędko się powiększy zapas twych wiadomości.

Chciała jeszcze dłużej z nią gwarzyć, lecz Irenka nie pozwoliła, prosząc żeby na jutro odłożono dalszy egzemin, a dzisiaj wypocząć jej dano z podróży i trochę się pobawić. Posiedzenie zatem zamknięto i obiedwie dzieweczki ochoczo do *pałacu* swego pobiegły, lecz tym razem nie same; bo za niemi na rozkaz pani Jadwigi mistress Tomson także tam poszła,

czuwać, żeby ekonomówna przez folwarczne swoje maniery, nie zgorszyła czasem infantki.

Wieleby to miejsca zajęło, jeślibyśmy z równą drobnostkowością jak te pierwsze kroki Jagusi, opisywać zechcieli i następne różne jej przejścia w nowym dla niej zawodzie; musimy więc pokrótce w głównych tylko zarysach naszkicować ten obraz, który należycie wycieniowany, mógłby znakomite studium stanowić, lecz popsułby symetrją tej ulotnej powiastki, mającej się zamknąć w ramach niewielkich.

Bo też w samej istocie był to widok nader ciekawy tego ubogiego dziecięcia, nagle przeniesionego z pod skromniutkiej strzechy folwarcznej, na wykwintne pańskie salony, z pośród prostaczej ekonomskiej rodziny w sferę arystokratyczną, od swobody zupełnej w obejściu się, w myślach, uczuciach i objawie jednych i drugich, do form wziętych pod cyrkiel etykiety wielkoświatowej, do ciągłego przymusu i surowej kontroli! Ach! ileż kosztowało to niebogę nabycie tych przymiotów zewnętrznych, tego błyskotnego poloru, tej dystynkcji wysokiej, której nie potępiamy wcale, która wdziękiem nieposolitym zdobi towarzyszkie stosunki i kunsztowny powab im daje, lecz niestety tak często bywa tylko blichtrem ułudnym, za który trzeba oddać w ofierze skarby serca nieprzepłacone: szczerość, prostotę i dziwiczą świeżość uczucia!

Prawda! jadła na srebrze, miała śliczne sukienki, miała mnóstwo cudnych zabawek, panny i lokaje do usług; ale jakże drogo za to płaciła! ile to upokorzeń bolesnych, ile wstydu połknąć musiała.

Pani Jadwiga była najzacniejsza kobieta, ale miała tę wadę, że kodeks etykiety wielkoświatowej był jej prawem najświęszem, z pod którego tylko Irenka i to nie w każdym razie, wyłamać się mogła bezkarnie; *nieprzyzwoitość* zewnętrzna była dla niej czemś gorszem, niż największa wada wewnętrzna; wziąwszy więc na opiekę Jagusię i poczciwie pragnąc jej dobra, a razem chcąc swą Ircię ustrzedz od złego wpływu, przedewszystkiem tem się zajęła aby co rychlej wytresować biedną sierotkę i z folwarcznych wszelkich nałogów wyleczyć ją zupełnie. I sama więc ciągle czuwała i guwernantkom zalecała co chwila, aby na jej maniery zwracały najpilniejszą uwagę. U stołu więc Jagusia nieustannie słuchać musiała coraz nowych upomnień, jak siedzieć, jak nabierać z półmisków, jak się że sztućcami obchodzić, co jest łyżką a co widelcem, do czego użyć noża, co wziąść w palce wypada, kiedy o co prosić, kiedy przyjąć choćby bez chęci, kiedy podziękować odmownie, kiedy milczeć, a kiedy się odezwać i tak dalej bez końca; bo u pani Jadwigi ceremoniał stołowy tysiące paragrafów zawierał, o jakich już nie tylko ekonomównie, lecz i pańskich dzieci większej połowie najpewniej się ani śniło. Przy zabawie podobnież: każde poruszenie cokolwiek żywsze, każdy wykrzyk nieco głośniejszy, zaśmianie się serdeczne, lub broń Boże klaśnięcie w dłonie, czy też podskok radosny, zaraz wywoływał naganę, zaraz powściągniętym być musiał, jako nieprzyzwoitość! Było więc tam obok uciechy bodaj czy nie więcej przykrości; bo mijając ciągłe perory, trzeba jeszcze i to pamiętać że te wszystkie zabawki, tak ją bardzo nęcące, należały tylko do Irci, która jej ledwie kilka zepsutych fraszek darowała na własność, a igrając z nią razem, wcale jej do równości z sobą nie przypuszczała, lecz pomimo woli i wiedzy, bez najmniejszej chęci upokorzenia, skutkiem wrodzonego może popędu, tylko się nią posługiwała, używała jej do zabawy swej własnej. Zresztą, pani Jadwiga, mimo całą swą dobroć, nigdyby nie pozwoliła na to, żeby ekonomówna w zbytnią poufałość weszła z jej córką; i jak przy najpierwszej zręczności ostrzegła ją łagodnie, żeby Ircię zwała panną Ireną, tak później upomniała podobnież, żeby się jej nie rzucała na szyję z uściskami i całusami, i nigdy się z nią w ręczne nie wdawała zapasy, bo to wszystko bardzo nieprzyzwoite. Tak więc przy tych igraszkach przykrość dla Jagusi była podwójna; raz, że nieustannie musiała gwałt we wszystkiem sobie zadawać i ciągle się trzymać na wodzy, drugi, że zabawki Irenki tylko pożądanie i zazdrość w jej serduszku budziły, a stosunek, w jakim z nią zostawała, zawsze przypominał jej niższość i ubóstwo ciężkie, sieroce. Toż i owe piękne sukienki, co ich tak pragnęła biedaczka: piękne były to prawda, ale zawsze nie takie jak miała Irenka, od kolebki w batystach i koronkach drogich chowana; a i z temi jednakże było tyle kłopotu! trzeba było na nie chuchać i dmuchać, jakby na pożyczane! bo nie tylko rozedrzeć, nie tylko je poplamić, ale nawet zmiąć trochę — to już reprymenda gotowa; bo dla pani Jadwigi był to dowód brzydkich manierów, był rzeczą nieprzyzwoitą, ba okropną—ohydną, bo niechlujstwem trącą! A też panny służące! Widzieliśmy od razu jak przyjęły biedną sierotę, jaką zawiść do niej uczuły; więc gdy jeszcze musiały posługiwać jej codzień *jakby komu dobremu*, zawiść ta rozmogła się tem srożej, i nieraz jéj uczuć się dała w sposób nader bolesny! Nieraz złe a głupie dziewczyska robiły jej ostre przymówki; nieraz rozczesując jej włosy, szarpały je bez miłosierdzia; nieraz zapinając staniczek, dusiły ją okrutnie, albo szpilkami kłuły; a kiedy się na to skrzywiła, śmiały się urągliwie niegodne, twierdząc, że *ekonomówna*, nie powinna się pieścić i na takie fraszki uważać. To przezwisko wzgardliwe bolało ją srożej od ukłuć i od wszelkich targańców, to też w końcu nie wytrzymała, i z płaczem skarżyła się pani Jadwidze, że ją panny służące przezywają *ekonomówną* ale nic to jej nie pomogło, tylko przyczyniło więcej boleści. Pani bowiem, w jej zażaleniu widząc niewłaściwą ambicję i naganną pogardę stanu, z którego wyszła, spytała ją dość ostro: za kogóż się uważasz? nie byłże ekonomem twój ojciec, zarówno jak i mąż twej stryjenki? Nie powinnaś się wstydzić pochodzenia swojego, tylko nad tem pracować, żeby prędzej się pozbyć złych nawyknień folwarcznych.

Upomnienie było bardzo rozsądne, ale tylko *teoretyczne*, bo praktyka codzienna uczyła ją wcale inaczej: w pałacu wspominano folwark zawsze z pogardą, biednych officjalistów traktowano z lekceważeniem, sama pani Jadwiga, ilekroć się gniewała na Irenkę za złe maniery, folwarcznemi je nazywała, a i biednej Jagusi jak w powyższej przestrodze, tak i nieraz podobnież nawyknienia folwarczne, mniej, lub więcej ostro wypominała, że nic już o francuzce nie mówię, która jakkolwiek sama była nader gminnego rodu, nie wahała się przecież tak jak i jasna pani, usterki towarzyskie biednej sieroty folwarcznemi mienić jej w oczy. Jakże więc było nie wstydzić się biedacze pochodzenia ekonomskiego, jak się, pomimo woli, nie przejmować doń wzgardą.

Tak więc ze wszystkiego widzimy, że raj wymarzony Jagusi, nie przyniósł jej rajskich rozkoszy. W początkach, ostrzegana raz po raz, zwykle

dosyć łagodnie, nie czuła się upokorzoną, i drobnych swych wykroczeń za zbyt wielkie grzechy sama nie licząc, ani też przypuszczając w prostocie ducha, aby ktokolwtek inny za takie je uważał, uwagi przyjmowała ochoczo, wcale przy nich nie tracąc swej dziecięcej swobody. Lecz powoli, gdy zmiarkowała, jak się zapatruje na to pani Jadwiga, jak boleje nad tem angielka, jak się irytuje francuzka, jak się śmieje pusta Irenka, gdy ją co raz to częściej, co raz to surowiej upominać zaczęto, gdy i folwark wyszedł na scenę; wtedy każda przestroga była dla niej jakby policzkiem, na który twarz się oblewała krwawym rumieńcem i serce ściskało się w bólu niezmiernym, pełne wstydu i żalu.

A dodajmyż jeszcze do tego, że w początkach wszelkie uwagi, upomnienia, przestrogi, odbywały się zwykle gromadnie, co je tem dokuczliwszemi czyniło. Bo gdy się która z guwernantek ozwała, czy to po francuzku, czy po angielsku, nieboraczka Jagusia nie wiedziała o co rzecz idzie, a ztąd się i poprawić nie mogła; więc zaraz, z jednej strony pani Jadwiga, z drugiej panna Irena przychodziły w pomoc jako tłómaczki, przez co pomimo woli, z tej poczciwej w gruncie opieki, robiła się jakby napaść, przy której nieszczęśliwa sierotka, zmieszana i przestraszona, miała minę istnej ofiary.

Słuszniešmy zatem wyrzekli, że ziszczenie bujnych swych marzeń, drogo okupiła biedna Jagusia! Gdybyż mogła przynajmniej ze swobodą dziecięcą korzystać z tych rozlicznych roskoszy, jakie ją otaczały codziennie; ale gdzie tam! mówiliśmy już pierwej, czem bywały dla niej zabawy, czem jej strojne sukienki, ale tu dodać musimy, że naiwne zachwyty tej niewinnej duszyczki, dla której w pałacowem życiu wykwintnem, co krok się przytrafiały niespodzianki zdumiewające, w oczach pani Jadwigi cechą były prostactwa, a więc rzeczą nieprzyzwoitą, wadą charakteru wielce naganną, którą wykorzenić było potrzeba: za każdy więc okrzyk podziwu, za każde uniesienie radosne, za każdą nieco żywszą chętkę oglądania czegoś lub posiadania, za każdy objaw ciekawości uciesznej, zaraz ją upominano, zaraz jej tłomaczono wielką zasadę salonowej przyzwoitości, według której należy na wszystko obojętnem okiem spoglądać, nigdy się nie wydając z wrażeniem, jakie budzą w nas rzeczy, poprzednio nam nieznane, bo przez to dowodzimy z jednej strony *parafiańswa*, z drugiej braku rozsądku. A więc biedna dziecina przyszła wreszcie do tego, że nie raz się lękała nawet spojrzeć na jakiś przedmiot, najmocniej ją nęcący, żeby przez swą naiwność nie wywołać nowej perory.

Jakże często wśród tych okoliczności, mimo cały przepych zewnętrzny, mimo wszelkie wygody życia, wspominała nieboga i rodzinny domek folwarczny i chatynkę matki przybranej, gdzie jej było tak błogo, tak swobodnie i raźno; gdzie i radość i smutek, zadowolenie i niechęć śmiało mogła jawić i wypowiadać, gdzie nie miała potrzeby taić ani myśli, ni uczuć; gdzie rej wiodła w każdej zabawie; gdzie w igraszkach dziecinnych była taka uciecha, takie szczere wesele; gdzie jej było wolno i było kogo objąć rączętami za szyję, ucałować, uścisnąć; gdzie i na nią na każdym kroku uściski i pieszczoty czekały; gdzie i zapłakaną twarzyczkę mogła śmiało przytulić do kochających piersi, nie bojąc się że na nich zwala delikatne atłasy lub też zgniecie drogie koronki!

Tu biedaczka nie miała do kogo się przygarnąć, nie miała z kim pogwarzyć serdecznie, stosunek jej z panią Jadwigą, równie jak i z Irenką w karbach etykiety się trzymał; francuzka jakoś serca do niej nie miała, — dziwna rzecz! za to właśnie, za co ją inni lubili, za jej piękność niepospolitą; zazdrościła jej tego daru, przez który, jak się odezwała na wstępie, można było zrobić fortunę, a którego jej samej trochę poskąpiła natura. Angielka bardzo zacna kobieta, wdowa od lat już kilku, matka ślicznej dzieweczki, którą właśnie w wieku Jagusi, w cyprysowy strojną wianuszek, położyła w trumience, od razu do sierotki przylgnęła, pokochawszy w niej drogie wspomnienie swojej własnej dzieciny; ale cóż ztąd, kiedy sierota z nią się porozumieć nie mogła, języka jej nie znając. Wprawdzie, ilekroć z nią była sam na sam, korzystała z każdej zręczności, żeby ucałować jej ręce, żeby główkę oprzeć na jej kolanach i czuła się bardzo szczęśliwą, gdy ciepła dłoń staruszki pogłaskała ją po twarzyczce, rozgarnęła na czole mięciuchne jej kędziorki, gdy ją przytuliła do piersi, gdy jej usta gorące przemówiły do niej pocałowaniem; ale tego było nie dosyć, te pieszczoty kradzione, ta powszechna mowa wszechczłowieczeństwa, święta mowa miłości, jeszcze nie wystarczała mnogim potrzebom serca nieszczęśliwej naszej sieroty, która tak wiele, wiele miała do powiedzenia. To też nieraz biedactwo szukało sposobności przyjaznej, żeby do garderoby się wykraść i z poczciwą Teklą trochę pogwarzyć; ale to się rzadko trafiało, z jednej bowiem strony inne panny służące odstraszały ją podawnemu, a z drugiej groziła jej pani Jadwiga, która ma się rozumieć, widziałaby w tem objaw gminnych usposobień folwarcznych.

Smutnie więc, zwłaszcza w kilku pierwszych miesiącach, upływało życie Jagusi, która nawet i smutek swój ukrywać musiała; bo kiedy nieboraczka tęsknić zaczęła, kiedy osowiała jakoś i zgorzkła, kiedy częściej łezki niż uśmiech na twarzyczce jej się ukazywały, to raz pani Jadwiga, mając sama jakieś zmartwienie i w dość cierpkim będąc humorze, ozwała się do niej surowo, że jeśli nie przestanie grymasić, to ją odeśle do stryjenki na folwark. W pierwszej chwili ta groźba nie przestraszyła jej wcale, owszem, pociechą ją przejęła; ale gdy się lepiej zastanowiła, to się jej żal zrobiło opuścić te świetności na zawsze, wyzuć się z tych sukienek, rozstać się z wygodami wszelkiemi, stracić z oczu ten przepych, co choć serca nie zaspakajał, ale tak pochlebiał próżności, tak magicznie na wyobraźnię jej działał. Przemogła się więc biedna i choć gorzko było w duszyczce, połykała łezki natrętne, i uśmiechem liczko stroiła!... Czasem tylko kiedy się trafił jaki dzionek feralny, w którym więcej niż zwykle doświadczyła przykrości, więcej upokorzenia, więcej wstydu doznała, więcej bolesnego przymusu zadać sobie musiała, to biedaczka wieczorem ległszy już w swem sierocem, choć wykwintnem łóżeczku, kiedy mistress Tomson światło zgasiła i dobrze już usnęła, powstawała ukradkiem i uklękłszy w pościołce, modliła się pocichu, powtarzając z pamięci wszystkie one pacierze, jakich się nauczyła tak wiele od nabożnej swojej stryjenki, której przykład to właśnie kazał jej w modlitwie szukać pociechy w każdym smutku, w każdem zmartwieniu. Trzeba zaś jeszcze wiedzieć, że i pod tym względem Jagusia była bardzo źle postawiona: mi-

stress Tomson nie mogła być jej przewodniczką w religji, sama inną wyznając, przeto rano i co wieczór, z woli pani Jadwigi, panna Freton uczyła ją pacierzy, naturalnie francuzkich, długo dla niej niezrozumiałych, a więc odmawianych usty nie sercem; zostawiała wprawdzie jej wolną wolę, żeby sama sobie zmówiła, co tam umie po polsku, lecz w zwyczajnych razach dziecina, znudzona francuzkiemi modłami i rada do łóżeczka rychlej się dostać, prędko i niedbale z tem się sprawiała. Skoro tedy tak się trafiło, że uczuła sama potrzebę oddania się Bożej opiece, to już modliła się tak szczerze, tak serdecznie i rzewnie, jak niekażde dziecko w jej wieku modlićby się zdołało: a wtedy budziło się w jej duszy błogie przypomnienie całej rodziny, z której żywych i zmarłych, każdego po imieniu Bogu zlecając, do łez się roztkliwiała biedaczka, i z mokremi oczęty później do poduszki się tuląc, długo jeszcze zasnąć nie mogła, rozmażona rzewnie i słodko, długo jak ptaszątko w gniazdeczku, szczebiocące sobie do snu półgłosem, cichym szeptem gwarzyła, niby wiodąc rozmowę z siostrzyczkami i ze stryjenką, niby zdając im sprawę ze swych myśli i uczuć, z któremi się zwierzyć nie miała komu... I tak zasypiała nareszcie, najczęściej z przyciśniętym do piersi medalikiem Najświętszej Panny, który, wysyłając ją z domu, Aniela jej z błogosławieństwem zawiesiła na szyi; zasypiała a we śnie Anioł stróż ją otaczał barwnem kwieciem marzeń uroczych, dając zapomnienie wszelkich przykrości, doświadczonych przez nią na jawie.

Ale pora już wspomnieć jak też szły jej nauki? jakiem było w tym względzie *świetne* jej *wychowanie*, któregośmy stronę moralną starali się wiernie przedstawić. Jużeśmy to mówili, że Jagusię Pan Bóg obdarzył zdolnościami znakomitemi, które objawiła szczególnie od kiedy się zaczęła uczyć w domu lekarza. A więc i u pani Jadwigi, jakkolwiek dla dziecięcia w tym wieku było rzeczą wcale nie łatwą, na raz z dwoma obcemi językami się łamać, przy pomocy wszakże Irenki, której pochlebiało to wielce, że przecież może zaimponować komuś skarbem swoich umiejętności, po upływie kilku miesięcy już nie tylko mogła rozumieć treść potocznéj rozmowy, ale także i sama zaczynała trochę szczebiotać po francuzku i po angielsku i czytała wcale niezgorzej, prześcignąwszy w tem nawet Ircię, która tylko pronuncjacją nad nią górowała wytworną, ale co do biegłości, pozostała bardzo daleko. W rok niespełna już była w stanie, tak w jednym, jak i w drugim języku brać początki wszelkich przedmiotów i robiła w nich takie postępy, że niewiele już brakło, aby dopędziła Irenkę, która jak to już wiemy, żółwim krokiem awansowała. Mówiąc zaś o dopędzaniu, mamy tylko na myśli ilość, a nie jakość nauki. Ircia bowiem pieszczona, nic z tego, co przechodziła lub raczej po czem ślizgała się po wierzchu, nigdy nie umiała gruntownie, a Jagusia całkiem przeciwnie, wszystko pojmowała dobrze i pamiętała; tak, że przy repetycjach, guwernantki tryumfujące nową swoją elewką, raz w raz przez nią wstydziły grymaśną i leniwą infantkę. W muzyce i w rysunkach podobnież, owszem jeszcze pomyślniej: Jagusia w ciągu jednego roku tyle się nauczyła, co Ircia przez calutkie trzy lata, a przez parę miesięcy dorównała jej nawet w tańcach, których lubo, zwłaszcza solowych, nie umiała tyle co ona, jednak w gracji układu, w szykowności wdzięcznej figurki, śmiało iść z nią mogła o lepsze.

Upłynęło jeszcze pół roku i już obie dzieweczki uczyły się jednych przedmiotów i do tego przyszło nareszcie, że tak guwernantki jak metrowie znaleźli się w trudnej pozycji: nie wiedzieli co dalej począć? Z początku ucieszeni, że mogą złożyć pani Jadwidze dowód, jak elewka chętna i zdolna z ich nauki pięknie korzysta, a razem też, zgodnie z pierszym jej planem, pragnąc emulację w Irci obudzić, wychwalali Jagusię, unosząc się nad jej postępem i przykładną pilnością, oraz dokładając starań usilnych i nie szczędząc szczerej zachęty, aby co rychlej doścignęła swej towarzyszki; ale gdy już doszli do tego, srodze się zakłopotali rezultatem swoich zabiegów! *(D. c. n.).*

ZWIERZĘTA PÓŁNOCY.

Niefortunni mieszkańcy tych stref podbiegunowych gdzie już nie ma renifera, obrani z wszelkich płodów ziemi, roślinności i zwierząt swojskich, zmuszeni są, ten nawet najkonieczniejszy warunek życia, to jest pożywienie codzienne, zdobywać ciągłą walką i niebezpieczeństwami, bo chociaż foki, czyli psy i konie morskie, będące głównym ich pokarmem, nie walczą z nimi, to jednak, aby je złowić lub zastrzelić, drapać się trzeba po lodowiskach, krach i ruchomych lodowych jaskiniach. Dawniéj, daliśmy już czytelnikom obraz życia Eskimosów, dzisiaj, choćby dla kontrastu z naszem wygodnem i łatwem życiem, damy krótki obrazek jednej z walk, jakie oni przebywać muszą na każdym kroku. Dr. *Kane*, kierownik niedawnej wyprawy do bieguna północnego, opisuje, że pewnego razu, kiedy towarzystwo z kilku podróżników złożone, po rozpięciu namiotu i zapaleniu ognia, zabierało się do snu, nagle jedna z podpórek wraz z płótnem podniosła się i ku wielkiemu wszystkich przerażeniu wysunął chciwy pysk biały niedźwiedź, którego powstrzymano zapalonemi u dogorywającego ognia gazetami; czekał jednak jakby wiedział, że papier spalić się musi. Ale to właśnie dało czas wypełznąć jednemu z podróżników po fuzję, przy pomocy której oraz lanc położono trupem napastnika. Takich to sąsiadów mają na każdym kroku podbiegunowi mieszkańcy. Ale niemniej niebezpiecznemi czasem są dla nich i morsy czyli konie morskie. Robią z nich pasy i rzemienie, wytapiając przytem tłuszcz zwany tranem.

Wielkość morsa jest dosyć znaczną, długość jego wynosi 18—20 stóp a waga od 1400 do 2000 funtów. Przy szyi i piersiach bardzo jest gruby, zwężając się stopniowo ku ogonowi. Gruba pomarszczona skóra czarniawego koloru, pokrytą jest rzadkim, krótkim żółtawo-brunatnym włosem. Od innych gatunków fok, mors odróżnia się głównie dwoma od 20—30 cali długiemi, mocnemi, walcowatemi, cokolwiek zakrzywionemi kłami, które zwierzchnią część szczęki zwykle podnoszą tak bardzo, że przedstawia się ona rażącą, grubą i tępą z otworami nozdrzy na samym wierzchu. Pysk porosły jest grubą nastroszoną szczeciną. Uszu wcale nie znać, oczy są małe choć błyszczące. Szczególnie umieszczone, ogromne dwa kły, służą zwierzęciu do rozmaitego użytku. Za ich to pomocą, czepiając się po rozpadlinach lodu, drapie się na dość wysokie wzgórza. Na lądzie rąbią morsy kłami: Znajdują się na Północy w tak wielkiej liczbie, ze w roku np. 1810 z jednych tylko południowo-biegunowych mórz dostarczono przeszło 6000 tonu otrzymanego z nich tranu do Anglji, co przedstawia wartość około 1 miljona talarów. Równie znakomitym jest połów ich na Północy, której mieszkańcy używają mięsa morsów na pokarm, a ze skór ich budują chaty, szałasy i łódki, lub też wycinają pasy i rzemienie

kłami tną na prawo i na lewo, przez co nieraz torują sobie drogę do wody, ale gdy się w tym swoim żywiole znajdą, czują się tak mocnemi taką bronią, że toczą walkę na śmierć lub życie z najstraszniejszemi swemi nieprzyjaciołmi, białemi niedźwiedziami. Niebezpiecznym jest wszakże mors i na lądzie. Biada temu, kto się nie przygotował na dobry odpór: z szybkością zadziwiającą w takim kolosalnym niezgrabnym tworze, skacze, albo raczej rzuca się całym swoim ciężarem i massą naprzód, depcząc i druzgocząc wszystko, cokolwiek na drodze napotka.

Z natury łagodny, zdolnym jest mors, przez napad rozjątrzony, stać się groźnym przeciwnikiem. Polowanie na morsy nie jest także pozbawione niebezpieczeństwa. Morsy przebywają najczęściej, stadami, na bryłach lodowych, i jakby zrozumiawszy że bryły te przy ciągłym ruchu, mogą sprowadzić zgubę łodzi lub okrętu, w razie napadu na jednego z nich, przypływają natychmiast wszystkie na obronę, rzucając się na łódź dookoła.

Załączony drzeworyt taką właśnie przedstawia scenę. Przebywając zimę na morzu Północnem i nie mając żadnej prawie rozrywki, majtkowie dwóch statków angielskich, zaskoczonych lodami, ujrzeli podczas pewnego pogodnego wieczora liczne gromady tych zwierząt, bawiących się na pływających lodowych wysepkach. Natychmiast na ogólne prośby spuszczono dosyć obszerną szalupę, którą napełnili ochotnicy z osady, uzbrojeni w strzelby i lance czyli dzidy. Pierwsze ze stad było tak czujnem, że za zbliżeniem się nieprzyjaciół, natychmiast rzuciło się w wodę i zniknęło. Nie tak bacznem było inne stado, które zajęte swojemi miłosnemi zabawkami, nie prędzej spostrzegło niebezpieczeństwo, aż zostało otoczone. Dano tedy ognia i po pierwszym wystrzale, morsy, oprócz tych które zostały zabitemi, rzuciły się ku wodzie, i roztrąciwszy ludzi, którzy im dzidami drogę zatamować usiłowali, znikły, jak pierwsze. Lecz tu poczuwszy się w swoim żywiole, zmieniły rolę i ku wielkiemu zdumieniu dzielnych majtków, stały się z napastowanych napadającemi. Zaczęły pokazywać się ze wszystkich stron i otaczać szalupę, wystawiając swoje kły i usiłując niemi uderzać o borty, tak że zaledwie strzelby i dzidy całej osady mogły nastarczyć przy opędzaniu się od nich. Za każdym jednak odpartym napadem następował drugi, jeszcze zapalczywszy i upartszy; nic broń nie pomagała: jeden przebity lub przestrzelony ustępował miejsca innemu. Majtkowie zauważyli, że jeden z nich odznaczający się wielkością, zdawał się dowodzić swemi braćmi i prowadzić ich do boju, a tak był zapalczywy, że wielokrotnie rażony strzelbą i dzidą, nie chciał ustąpić, pokazując się co chwila z wody, po każdym odebranym ciosie. Pozostałe także stawały się coraz śmielszemi i szybkiemi, do tego stopnia, że majtkowie nie zdążyli nabijać swych strzelb. Jeden z nich tylko miał jeszcze nabitą fuzję w chwili, kiedy najliczniejsza opadała łódź gromada. Nie tracąc więc chwili wystrzelił prosto w paszczę owego przywódcy. Śmiertelnie rażony, pochylił się napastnik i zapadł w wodę, a inne jakby przerażone tym zgonem, zaczęły się cofać i wreszcie znikły pod wodą, kładąc tym sposobem koniec swojej klęsce i niebezpieczeństwu osady.

Takie to na każdym kroku mają przysmaczki mieszkańcy Północy, a jedyne ich konie (morskie) nie są podobnemi do naszych poczciwych, spokojnych mierzynków.

O JASKÓŁKACH.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 44-ty).

Ojczyzną dymówki są wszystkie kraje umiarkowanego klimatu Europy, Azji i Afryki. Na ogromnej tej przestrzeni rozciągającej się ze wschodu na zachód od Kamczatki do Portugalji wszędzie napotkać ją można; na przylądku Dobrej Nadziei, należy do ptaków tamecznych, niemniej pospolitą jest w północnej Norwegji, a niekiedy zapuszcza się nawet aż w pobliże północnego biegunowego koła. Wszędzie jednakże jest ona ptakiem wędrownym, żyjącym tylko podczas cieplejszej pory roku w ojczyźnie, na zimę zaś odlatuje, szukając schronienia i żywności, do krajów gorących. Do Polski przybywa w połowie Kwietnia, lecz nie może uchodzić za nieomylną zwiastunkę wiosennego powietrza, gdyż, jak to doświadczenie uczy, sama nieraz ku niemałej własnej szkodzie się myli. Pragnąc terminu dotrzymać, parta żądzą odprawienia podróży, a znęcona przytem kilku ciepłemi dniami, przylatuje ona do nas często zawcześnie, nie przewidując bynajmniej jaki los ją czeka. Pierwsze kilka dni wszystko idzie dawnym trybem, słonko świeci i przygrzewa, muszki brzęczą już po powietrzu, to i dość jaskółce, bo ona więcej nie pragnie, aby nacieszyć się życiem i powrotem na ojczystą ziemię. Myśli zatem nieboga rozgościć się już na dobre, aż tu naraz zmienia się wszystko: mróz, śnieg, mgły, druga zima zamiast ciepła i pogody owady, ledwie co na swiat wyjrzały, pokryły się znowu; jaskółce zimno, głód poczyna jej dokuczać, biedna ona postrzega teraz tę nieszczęsną pomyłkę, ten błąd swej rachuby, widzi, że nie ma jeszcze co robić w tym kraju, więc zabiera się znowu co tchu, i opuszcza nas na tydzień lub dwa, aby tam gdzieś, na południu, czekać stosowniejszej pory do powtórzenia podróży. Jeszcze to pół biedy, jeżeli może w ten sposób ochronić się od zguby, lecz gdy nadspodziewanie wielkie zimno przypadnie zbyt nagle i trwa przez parę dni, to już ani czasu ani sił jej nie starczy, ażeby mogła ratować się ucieczką i nic jej nie pozostaje, jak poddać się konieczności. Wtedy to mnóstwo tych pięknych ptaszą gnie od zimna i głodu. Taka klęska spadła na nie i w wiośnie 1864-go roku, w której bardzo wielką ilość nieżywych jaskółek znajdywano na polach, w okolicach Poznania, a zapewne i w innych krajach nie było inaczej. Nie wyginie przeto ród jaskółczy; w miejsce tysięcy—tysięcy takim losem dotkniętych, przylata i innych tysiące, co niezrażone smutnym zgonem nieszczęśliwych poprzedniczek, dobijać się będą praw swoich na rodzinnej ziemi, i dobiją wreszcie, bo takim jest odwieczny porządek świata, że co z postanowienia Bożego trwać ma, to trwać będzie pomimo klęsk i strat największych.

Dymówka przybywa do Polski wcześniej od innych gatunków, a opuszcza nas znowu później od nich; ku końcowi Sierpnia zazwyczaj poczynają jaskółki jednej okolicy zbierać się w gromady, te przenoszą się na inne miejsca, dokąd też zlatują się gromady z przyległych okolic, aż nareszcie zebrawszy się w niezliczonej ilości w jedno ogromne stado, zrywają się wszystkie hurmem i odlatują zwykle w pierwszym tygodniu Września do Afryki.

W końcu Kwietnia wszystkie dymówki zajmują już dawne swoje stanowiska latowe, nie przylatują one jednakże nigdy w takich gromadach, jakie tworzą, gotując się do odlotu jesienią, lecz parami, po kilka, kilkanaście, tak, że ich ilość niepostrzeżenie powiększa się z każdym dniem. Czasem pojawi się jedna tylko, która potem znika nam na parę dni, później widzimy ich więcej, te znowu znikną, znowu wrócą, a z niemi nadleci kilka nowych przybyszów, i w ten sposób pokazuje się ich coraz więcej, dopóki w ogóle wszystkie nie wrócą do zeszłorocznych siedzib swoich.

Wędrówki jaskółek znane już były w najdawniejszych czasach. W starym testamencie znajdujemy o nich wzmianki, a niemniej i w greckich pisarzach; Arystofanes np. radzi pamiętać o zasiewach po przybyciu żórawi, o strzyży owiec, gdy kanie nadciągną, a po zjawieniu się jaskółek, zdjąć odzież zimową. Według kalendarzowej rachuby Teofrasta w Atenach, wiały tam co roku pomiędzy 28 Lutego

a 12 Marca wiatry południowe, nazwane wiatrami ptaków przelotnych, albowiem równocześnie z niemi przybywały pierwsze jaskółki. Wielokrotnie zastanawiano się nad przyczynami tych wędrówek i różne w tej mierze objawiano zdania i domysły; atoli dokładne badania i z wszelką oględnością wykonane doświadczenia wykazały przecież ostatecznie, iż nie tyle stosunki temperatury, jak raczej zawisła od tychże obfitości, lub niedostatek, żywności zakreśla tym ptakom czas ich pobytu na miejscu, i zniewala je do przenoszenia sie w tak różne i odległe okolice ziemi. Naturalista włoski, Spallanzani, człowiek uczony, lecz jak się zdaje bez współczucia i litości dla zwierząt, którym najsroższych nie szczędził męczarni, gdy mu szło o rozwiązanie naukowych zagadnień, dowiódł szeregiem nabytych w taki sposób spostrzeżeń, iż jaskółki o wiele mniej czułemi są na zimno, niźli to zwykle mniemamy. Używając do swych doświadczeń sztucznego zimna, wystawił on kilka jaskółek na działanie zniżającej się stopniowo temperatury, i uważał pilnie zmiany zachodzące w ich stanie i zachowaniu się. Dopóki termometr wskazywał na zero, ptaki nie cierpiały bynajmniej, zimno 8—9 stopni, osłabiło je już znacznie, nie pozbawiając ich jednakże życia, posunięte zaś do 13—14 stopni, zabijało je z wielką szybkością. Nigdy atoli nie wpadały one przytem w stan letargiczny, podobny do snu zimowego innych zwierząt, lecz traciły życie bądź to z zimna, bądź z braku pożywienia. W koszu powleczonym płótnem woskowem pogrzebane w śniegu wysokich gór w Maju i Lipcu umierały już w przeciągu 10 godzin; inne w izbie bez pożywienia zamknięte, gniły z głodu piątego dnia. Okrutne te doświadczenia oburzają serce każdego czującego człowieka, i nikt ich też zapewne chętnie bez potrzeby powtarzać nie będzie; z drugiej jednakże strony miały one tę korzyść, że wykazały nicość baśni i starych, dość powszechnie dziś jeszcze wiarę znajdujących podań o zimowaniu jaskółek w krajach północnych. Podania te sięgają bardzo odległych wieków, albowiem Arystoteles uczył już, że tylko jaskółki bliższe ciepłych krajów odlatują do nich na zimę, gdy przeciwnie dalej na północy mieszkające, zostając na miejscu, szukają schronienia w norach i jamach. Późniejsi naturaliści opierając się częścią na powadze tego męża, częścią na prawdziwych, lecz niedokładnie objaśnionych faktach, twierdzili zaś, że ptaki te wpadłszy jesienią w otrętwienie przetrwać mogą zimę nie tylko w jamach i rozpadlinach skał, lecz nawet w miejscach takich, w których żadne zwierzę z krwią ciepłą dłużej jak kilka godzin żyć nie może. Jużto w wodzie lodem pokrytej, już w błocie i na mułach stawów lub morza, albo nakoniec w norach podwodnych nad brzegami rzek, miały zimować w otrętwieniu jaskółki i przychodzić wiosną znowu do życia. Przeczyć nie można, iż niejedna okoliczność sprzyjała takowemu widzeniu rzeczy, gdyż zdarzało się nieraz, jako i dziś jeszcze; się zdarza, że z mułu stawów i jezior wydobywano jaskółki rybacy mianowicie w niektórych latach dość często wyławiają je siecią. Na mocy takich faktów, trafiających szczególnie do przekonania tych, którym są potrzebne, wielu naturalistów jak Claus, Magnus, Klein, Schaeffer, Derham, Barrington nie wahali się już oświadczyć stanowczo, że wszystkie jaskółki zimują w otrętwieniu, twierdzenie, które tem bardziej zasługiwało na wiarę, że uznał je nawet sam Lineusz. Tymczasem inni, jako to: Ray, Killugby, Collinson, Edwards, Cateshy, Reaunner, Adamson, Frisch, Buffon przeczyli zgoła wszystkiemu, obstając przy wędrówkach jaskółek jako ptaków przelotnych. Z tak wręcz przeciwnych sobie mniemań zapalił się nader żwawy i długo trwający między uczonymi spór, a jak zwykle w takiej okazji, każda strona siliła się na argumenta, i zbierała świadectwa, ażeby znaleźć poparcie i podstawę dla swojej nauki. Pierwsi, powołując się na doświadczenie, przywodzili jako dowód rzecz pewną i niewątpliwą: znalezienie pod powierzchnią wody całych kłębów jaskółek zagrzebanych w błocie. Drudzy natomiast dowodzili, że już budowa ciała nie pozwala jaskółce zanurzać się, ani zostawać pod wodą, w którejby też natychmiast dla struktury płuc postradała życie, że dalej niepodobieństwem jest, aby przez sześć miesięcy a nawet i dłużej utrzymać się mogła bez pożywienia, a co najważniejsza, że corocznie widywaną bywa, gdy w wielkich stadach przylatuje do Afryki, gdzie przez czas niejaki bawi nad morzem, nie ścieląc jednakże tam gniazda. Ściślejsze badania czasów późniejszych i ogólny postęp nauki wyświeciły nakoniec tę sprawę; głosy przeciwne zjednoczyły się w uznaniu jaskółek za ptaki wędrowne i mniemane ich zimowanie w stanie otrętwienia, poszło wkrótce w niepamięć, tu i owdzie utrzymując się tylko jako podanie ludowe. Niezaprzeczony zaś fakt znachodzenia się jaskółek pod wodą, można łatwo wytłumaczyć, przyjmując, że one nie zanurzyły się tam dobrowolnie, lecz po prostu, że utonęły przypadkiem, co zapewne wydarza się dość często, i czemu nikt dziwić się nie będzie, kto znając zwyczaje jaskółek, wie, że jesienią chętnie nocują nad wodami, gromadnie siadając na trzcinach. Silniejsze i zdrowe odlatują wkrótce potem, słabsze zaś, po części ze spóźnionego lęgu ptaki i schorzałe niezdatne do wytrzymania dalekiej podróży, pozostają w kraju, narażone na coraz chłodniejsze noce i coraz większy niedostatek żywności. Cóż więc prostszego jak że nakoniec wycieńczone głodem, skostniałe od zimna, nie mogąc już ani podlecić na skrzydłach, ani utrzymać się w równowadze na wiotkiej i chwiejącej się trzcinie, spadają bezwładne do wody i toną bez ratunku. Takiemu przedstawieniu rzeczy mógłby kto zarzucić, że jeżeli pewna liczba jaskółek z osłabienia ginie w jesieni, natenczas powinnibyśmy je znajdywać nieżywe także na polach, co przecież tak nie jest, lecz zarzut ten zbija się dostatecznie ich przesiadywaniem nad wodami, gdzie dla nich jest jeszcze trochę żywności, której o tej porze roku pola nic już nie dają. Prócz tego nie trzeba zapominać, że jaskółki znalezione w wodzie, bardzo rzadko należą do gatunku dymówki, najczęściej są to grzebiółki, które budując gniazda w głębokich norach, położonych częstokroć tuż nad powierzchnią wody, wystawione są na bardzo niebezpieczne dla nich powodzie. Nie rzadki to wypadek, że woda zalewając nory, wypłókiwa z nich ptaki i zamiela ich w błocie, lecz żeby tak zagrzebane jeszcze kilka miesięcy żyć miały, temu sprzeciwia się wszystko cokolwiek wiemy o warunkach życia zwierząt z krwią ciepłą. Zresztą nikt też jeszcze nie widział, ażeby jaskółki z własnej woli kryły się pod wodę, lub wylatywały z niej na wiosnę, jako i żadnego dotąd wiarogodnego nie masz świadectwa, ażeby wyłowione z wody lub błota powróciły były do życia; przeciwnie, wszystkie doświadczenia w tej mierze robione wykazały dowodnie: że, jaskółka trzymana niejaki czas pod wodą, wkrótce umiera, tak, iż twierdzenie o zimowaniu jej, czyto w tym lub owym stanie otrętwienia, i czy to w wodzie, norach lub gdzieindziej, najmniejszej nawet nie ma podstawy. [1])

(*d. c. n.*)

[1]) Przed kilku laty poruszył ten przedmiot na nowo, zaszczytnie znany z ornitologicznych prac swoich, Hr. Kazimierz Wodzicki, który bierze w obronę możliwość letargu jaskółek, zostających przez zimę pod wodą, opierając wszakże zdanie swoje więcej na analogii z innemi zwierzętami aniżeli na faktach i dowodach, o których to ostatnich sam wyraźnie mówi: że dotąd żadnych nie posiada. Żałując, że ani ramy, ani cel naszego artykułu nie pozwalają nam zastanawiać się tu bliżej nad dotyczącą tej materji pracą hr. Wodzickiego, życzymy zarazem, ażeby ta wzmianka służyć mogła czytelnikowi za pobudkę do obeznania się z treścią zajmujących tegoż autora rozpraw o jaskółkach, zamieszczonych w dodatku miesięcznym do krakowskiego czasu z lat 1858 i 1859.

ROZMAITOŚCI.

— **Niesłychana zuchwałość rabusiów.** 10 Marca r. b. bank Langa i Komp w Russelwille (w Kentucki) został zrabowany wśród białego dnia przez bandę złoczyńców. Miejscowe gazety w ten sposób powyższy wypadek opisują: Na dziesięć dni przed zrabowaniem banku, zjawił się tam człowiek, pod nazwiskiem Tomasza Kolburna z Luizwil, dla odmiany bankowego biletu wartości nader podejrzanej. W banku nie chciano rozmienić mu wexlu; nazajutrz znowu zjawił się tenże sam człowiek w banku i natarczywie domagał się rozmiany swego wexlu. Nie zniechęcony nową odmową, przez kilka dni naprzykrzał się urzędnikom bankowym. Wreszcie 20 Marca, o 2 godzinie po południu, wówczas gdy p. Lang, Barelay, pisarz banku i p. Simmons, sąsiedni ziemianin, znajdowali się w kassie, pod gmach bankowy podjechał Kolburn, z dwoma towarzyszami, konno. Konie przywiązali w bramie; na każdym siodle znajdował się tłomok. Wszyscy trzej weszli do pokoju; Kolburn rzucił fałszywy wexel o 50 dollarach na stoł, a gdy bankier oświadczył, że go nie rozmieni, przyłożył mu do czoła pistolet, i rozkazał się poddać. Lang probował uciec przez tylne drzwi, ale drugi rozbójnik schwycił go za kołnierz i strzelił mu w głowę. Szczęściem kula tylko drasnęła czaszkę, i Langowi udało się, po rozpaczliwej walce, wyrwać się z rąk zbójcy i wybiedz z pokoju zamknąwszy drzwi za sobą; wybiegł na ulicę, wzywając pomocy. Ale tu spotkał dwóch innych bandytów na koniach, uzbrojonych w strzelby i pistolety, i strzelających do każdego, kto się na ulicy pokazał. Tymczasem Kolburn i trzeci zbójca, grożąc dwóm pozostałym osobom śmiercią, za najmniejszy opór, jęli rabować bank, z którego wewnętrznem urządzeniem Kolburn obeznał się podczas częstych swoich wizyt. W kassie znaleźli 9,000 dollarów w papierowej monecie. Z piwnic bankowych wyciągnęli wory ze złotem i srebrem, i rozbili wszystkie beczki, pozostawili jednak wexle i inne papiery, które mogłyby się przyczynić do ich wykrycia. Tymczasem mieszkańcy Russelvilla, uzbroiwszy się jak kto mógł, wystąpili przeciw rozbójnikom, stojącym na warcie, ale ci trzymali swemi fuzjami tłum w pewnej odległości, gdy tymczasem zbójcy wewnątrz gmachu kontynuowali swą pracę. Wreszcie, obciążeni łupami zbójcy wybiegli z domu, wskoczyli na konie, i cała banda przemknęła mimo tłumu, który ścigał ich bezpożytecznemi wystrzałami. Wysłana za nimi pogoń konna do niczego nie doprowadziła. Rozbójnicy mieli wyborne konie; byli uzbrojeni od stóp do głowy, a po kilku milach ślad ich zginął zupełnie w lesie. Dowiewiedziano się wprawdzie, że banda przejechała luizwil-naszwilską koleją żelazną, ale dalej wszystkie ślady zniknęły. Zdarzenie to powinno być dla wszystkich nauką jak ostrożnie obchodzić się winniśmy z podejrzanymi ludźmi i że w podobnym wypadku energiczniej należy się postawić aniżeli mieszkańcy Russelvilscy, którzy w swoich oczach pozwolili ujść kilku złoczyńcom z skradzionemi pieniędzmi.



Eskimosy, (do str. 357-ej).

KORRESPONDENCJE OD REDAKCJI. Opiekuna Domowego.

— **X. S. z nad Smotrycza.** Szanowny korrespondent w liście do Redaktora Opiekuna Domowego pod d. 24 Czerwca r. b. adressowanym, uznając że w piśmie tem są dla kółka familijnego wiadomości potrzebne i użyteczne, do moralnego i umysłowego ukształcenia młodzieży, dostrzega jednak pomiędzy niemi: „1. niektóre usterki anti-katolickie; 2. Że krytykowanie autorów artykułów i wierszy do Opiekuna przysyłanych, odstręcza ich od tego pisma."

W usprawiedliwieniu się z tych zarzutów, Redakcja oświadcza: Co do 1-o Wymieniony w *Rozmaitościach* N. 3-go Opiekuna z roku 1867 artykuł pod napisem: *Biblia*, donoszący o szerzeniu słowa Bożego przez kraje zachodnie, upowszechnianiem tej księgi Świętej w różnych narodach i językach, a bardzo mało w kraju naszym znanej, ile gdy mamy wydanie jej łacińsko-polskie, z kommentarzami X. *Wujka*, Hieronimem polskim zwanego; Redakcja nie sądzi, ażeby takie jej przemówienie zawierało co przeciwnego nauce Kościoła, kiedy pod tym względem nie dotyka jego dogmatów i nie wdaje się w żadne kwestje teologiczne; czytający zaś Opiekuna tu światli duchowni, nic takiego zdrożnego w tem piśmie dotąd nie zauważyli; jak równie i w artykule pod napisem: *kandydaci na śmierć* (w Rozmaitościach Nr. 20), w którym Redakcja o wymienionem tam zdarzeniu własnego zdania nie objawiła, tylko zamieściła zdziwienie swoje, że gazeta Tylżycka zmyśliła podobną niedorzeczność.

Co do 2-o krytyka nadsyłanych do Opiekuna artykułów i wierszy, niedojrzałego utworu, nieprzydatnych do ogłaszania drukiem, jest niezbędną i konieczną, jako leżąca w obowiązkach Redakcji, ażeby porywający się do autorstwa, lepiej miarkowali się i obliczali ze swojemi zdolnościami pisarskiemi, nim w świat puszczą utwory słabe, w których brak zdrowej myśli, częstokroć sensu, albo są to płody dziwnych wyobrażeń pełne śmieszności. Sam X. S. powiada, że umieszczanym w Opiekunie wierszom, niezawsze można przyznać zasłużoną wartość. To co z podobnych utworów wydrukowano w Opiekunie, jest sam wybór; Redakcja niektóre chociaż słabsze niekiedy umieszcza, jedynie przez wzgląd, ażeby początkujących odrzucaniem ich pracy nie zrażać; takich bowiem których drukować niepodobna, złożyłoby się kilka tomów, utworów powiększej części młodzieży. Jeżeli pomiędzy temi znajdą się utwory i dojrzalszych miłośników poezji, to nie wina Redakcji. Krytyka słabe tylko umysły odstręczy, silniejsze oświecaniem wyżej podniesie.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: ADAM MIECZYŃSKI.